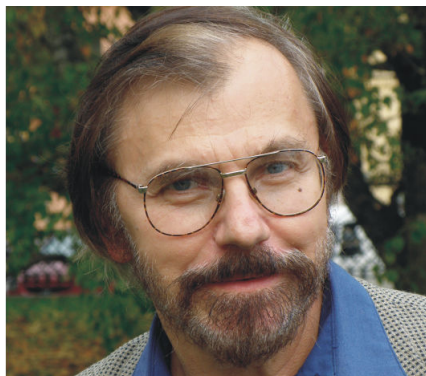


Listy do Pani A. (60)



Śmietanka i szumowina

Droga Pani!

Jakby dopiero co zaczął się 2013 rok, a tu już połowa... Takie mam odczucie. Niebawem będę się zbierał do wakacyjnego wyjazdu na moje Kaszuby. Lubię jeździć w te same miejsca, bo dla mnie one nie są te same. Zawsze coś innego potrafię tam zauważyć, zwiedzić miejsca, których dotąd nie znałem. Nie siedzę nigdy na miejscu, ale przemieszczam się w promieniu mniej więcej stu kilometrów, codziennie gdzie indziej. Jest ciekawie, bo – tu mi Pani zapewne przyzna rację – i życie, i świat są ciekawe, warte zainteresowania. Nawet to samo drzewo widzimy inaczej, niż w latach ubiegłych. Tylko trzeba starać się to wszystko zauważać.

A co jeszcze zauważyć? Przemijanie? Własne życie? Ślady wydarzeń z najdalszej przeszłości wróżące dziś przyszłość? Skąd takie refleksje? Jestem pod wrażeniem świetnej, wybitnej książki Piotra Kuncewicza „Brama. Dziennik intymny doktora Fausta”. Utwór ten Leszek Żuliński nazwał „powieścią-esejem”. Lektura, to prawdziwa uczta intelektualna. Powiada Piotr Kuncewicz, że człowiek: *Podczas tej wędrówki przez szlaki doświadczeń i myśli poznaje ogrom świata i bezmiary jego komplikacji, dowiaduje się, że nigdy ich nie ogarnie.* I to jest cały dramat, a zarazem szczęście ludzkiej egzystencji – świadomej, uświadomionej na wszelkie zjawiska zachodzące w świecie, na przemijanie, rozpad, destrukcyjne działanie czasu. To wszystko bowiem składa się na swoisty „krajobraz” oglądany z naszego wnętrza niczym przez okno pędzącego pociągu. Jest to proza bogata w znaczenia, starająca się objąć rzeczywistość, rozwikłać jej tajemnice, zarazem pokazać aktualność faustowskiego mitu. Przy tej dojmującej świadomości, że zgłębienie owych tajemnic nie jest i nigdy nie będzie możliwe.

A w Teatrze Polskim wręczono po raz pierwszy Międzynarodową Nagrodę Literacką im. Zbigniewa Herberta. Laureatem został William Stanley Merlin, amerykański poeta, świetny zresztą, należący do starszego pokolenia (ur. 1927). Miał siłę i ochotę przyjechać do Warszawy. Dostaliśmy ze Zbyszkim Milewskim zaproszenia na tę uroczystość, jako przedstawiciele ZLP. Teatr był pełny. Zebrała się warszawska śmietanka. Nie znaczy to, że przyszła banda chamskich i matołowych celebrytów i polityków. To byli zupełnie inni ludzie. Kulturalni, z klasą – takich osób nie widać powszechnie na ulicach. Giną w morzu neandertalu. Tu zebrali się na małej przestrzeni. Podejrzewam, że to cała prawdziwa inteligencja, potomkowie przedwojen-

nego high lifu. Wystarczyło popatrzeć na twarze, zaobserwować dystyngowane zachowanie. Zobaczyłem tam Panią, a może tylko znów uległem niepoprawnemu złudzeniu...

Wreszcie weszliśmy na widowię. Zbyszek zauważył starszego pana siedzącego samotnie w pierwszym rzędzie. Nikt na niego nie zwracał uwagi. To właśnie był laureat. Zbyszek podszedł do niego z jego tomikiem i poprosił o autograf. „Jak się pan nazywa?” – spytał laureat. „Zbigniew Milewski”. Na to Merwin: „Tak, dostałem nagrodę Herberta. A pan jak się nazywa?” „Zbigniew...” „Ale pan jak?”, „Zbigniew...” Historia powtórzyła się kilka razy, aż przyszedł tłumacz i wyjaśnił, że „ten pan także jest Zbigniew”. Nie mogło się Merwinowi pomieścić w głowie, że może być na świecie inny Zbigniew poza Herbertem...

A potem był bankiet. Dużo wina wypiliśmy ze Zbyszkim. Przesiadł się do nas Adam Zagajewski. Zbyszka nie znał w ogóle, mniej z wierszy. Zaczęliśmy rozmawiać. W pewnym momencie słyszę, jak Zbyszek pyta protekcyjnym tonem: „A pan Adam coś pisze?” Zagajewski nie dał nic po sobie poznać, powiedział skromnie, że istotnie „coś pisze”, a wkrótce pożegnał się i poszedł.

Wyszliśmy z teatru jako jedni z ostatnich gości, we wspaniałych nastrojach, śmiejąc bez przerwy z zaistniałych sytuacji. „A pan Adam coś pisze?” Paradnie!

Muszę Pani powiedzieć, że na 55-lecie Hybryd było nieco inaczej. Podobno mówiła coś Krysia Gucewicz, podobno występował Stanisław Zygmunt z ostatniego kabaretu Helota, który był w starej siedzibie Hybryd na Mokotowskiej, podobno śpiewała Jolanta Kubicka, która po przerwie wraca na estradę. Piszę podobno, bo z tyłu sali, przy barku stał tłum jakichś ludzi, pretensjonalnych paniusi i podstarzałych zadowolonych z siebie byków i gadał, krzyczał, zagłuszał. Nie wiem, co mówił artysta kabaretowy, co śpiewała piosenkarka, nawet fortepian było słychać słabo. Zainteresowani siedzieli w krzesłach, ale podobnie jak ja prawie nic nie słyszeli. A tamci hałasowali. Czuję się tak, jakbym za głębokiej komuny słuchał zagłuszanej Wolnej Europy. Krysia prowadziła całość, tworzyła – jak zwykle – serdeczną, przyjacielską atmosferę, ale nie wierzę, że jej ten ustawiczny, głośny gwar nie przeszkadzał. W każdym razie jako osoba o rzadko dziś spotykanej, wysokiej kulturze nie zareagowała tak brutalnie, by gawiedź zrozumiała.

A kiedy wniesiono urodzinowy tort, plankton artystyczny rzucił się w jego stronę niczym zwierzęta w zoo na widok karmiciela. Tego nie było w Polskim. Nie widziałem, aby ktoś się pchał, zdobywał żarcie walcząc niczym pod Grunwaldem. I tu jest widoczna różnica pomiędzy Warszawą a Warszawką, kulturą a kulturką. Ale z drugiej strony... Może naród jest rzeczywiście głodny, a poza tym ma wyniesiony z domów charakter krzyworjny?

Tak czy inaczej, na jubileuszu Lama Quang My w auli Domu Literatury było normalnie, ale tu nadawali ton Wietnamczycy, naród bardzo kulturalny. Trudno uwierzyć, że to była siedemdziesiąta rocznica jego urodzin. W części oficjalnej z powagą wystąpił Jan Zdzisław Brudnicki mówiąc kwieciste o poezji naszego wietnamskiego przyjaciela. Postanowiłem nakłuć trochę ten jubileuszowy balon i przypomniałem, że Lam śpiewa swoje utwory, jest atrakcją każdego spotkania. Powiedziałem też, że jeśli śpiewa po Wietnamsku, to nikt nie jest w stanie zorientować się, który to wiersz. Równie dobrze – mówię – mógłby zaśpiewać ostatnie wersy „Zagłady” Marka Wawrzkiewicza. Pamięta je Pani? Jeśli nie, proszę zajrzeć do jego tomu „Epizod” na stronie 122. Albo do jednego z niedawnych listów do Pani,

gdzie właśnie te wersy cytuję. Potem opowiedziałem, jak to w ramach Galicyjskiej Jesieni Poetyckiej, pojechaliśmy z Lamem do Dąbrowy Tarnowskiej. Miałem wtedy w samochodzie alarm, który włączał się automatycznie, a wyłączyć można go było nie pilotem, ale specjalną plakietką, którą się przykładano do czujnika wewnątrz. Alarm włączał się przy każdym otwarciu drzwi. Przyjechaliśmy do Dąbrowy, a tam trzeba było spytać kogoś, gdzie jest biblioteka, w której mieliśmy spotkanie. Powiedziałem więc Lamowi, aby pod żadnym pozorem nie otwierał drzwi, a ja wyjdę spytać kogoś o drogę. Wsiadłem, idę w kierunku jakiegoś przechodnia, a tu wycie alarmu na całe miasteczko. Wróciłem biegiem do auta. Lam otworzył drzwi i chciał wysiadać. Opięprzyłem go po żołniersku. A na to Lam: „diktator, diktator, diktator!” Wspomniałem też, że Lam w moim telefonie figuruje pod hasłem „Mucha”. Nazwałem go Człowiekiem-Muchą, ponieważ przemieszcza się tak szybko, że niepostrzeżenie znika w jednym miejscu i pojawia się w drugim. A potem krótko omówiłem jego poezję. Krótko, ponieważ Brudnicki wyczerpał temat.

Byłem z Joasią i z Iskrą na Świącie Narbutta. To taki doroczny festyn mający integrować mieszkańców. Są różne imprezy, stoiska z wyrobami domowymi, książkami. W tym roku była bodaj trzecia edycja tego festynu. Pamiętam dwie poprzednie edycje. Wydaje mi się, że wtedy było większe zainteresowanie. Nie wiem czy to kryzys, czy gaśnie polski słomiany ogień, ale teraz wydało mi się bardzo ubogo, bardziej sztywno. Ale coś musiało być na rzeczy, bo organizatorzy ogłosili, że odwołują imprezę, a w kilka dni potem poinformowali, że jednak się odbędzie. A to wszystko przez głupich urzędników, którzy nie chcieli wydać odpowiedniej zgody. Nie wiem na czym to polega, ale Warszawa od lat ma więcej upolitycznionych idiotów we władzach niż inne miasta. Bufetowa nawet ze śmieciarni nie potrafiła sobie poradzić, wydała grube pieniądze, a do końca roku nie będzie żadnej segregacji, bo pojemników nie ma. To w co ją schowamy wreszcie? Koniecznie trzeba wskrzesić Starynkiewicza! Takiego chaosu, idiotyzmów i marnotrawstwa jakie dziś mamy, mogą się od Warszawy uczyć na całym świecie!

Myślę, że bez władz lepiej by sobie ludzie poradzi. Przecież bez żadnej pomocy znikąd, przy dobrej woli właścicieli Bibelołów, państwa Kaniewskich, bezinteresowności poetów, udało się rozkręcić „Poezję na Willowej”. Teraz jest wakacyjna przerwa. Sezon zakończył się spotkaniem z Anną Andrych. Świetne wiersze, choć może trudne, przesyczone pewnym tragizmem, ale świetnie napisane, ekspresyjne, celnie zmetaforyzowane. Bardzo się jej wiersze podobały zebrany, wywiązała się rozmowa z poetką, której ujmująca postawa zjednała sympatię słuchaczy. Mamy więc wszyscy powód do satysfakcji. I niczego więcej nie potrzeba, żadnych partii, Kościołów, prezesów, biskupów i innych paszytytów. Damy sobie radę sami. Willowa – mała rzecz, ale wskazująca, że można w ten sposób organizować także rzeczy wielkie. Trzeba tylko chcieć. We wrześniu ruszamy znowu.

Pani obecność podtrzymuje mój optymizm, którego coraz więcej. Ale w końcu nie narzekam, tylko konstatuje, i nie ma w tym mojej winy. Dzięki Pani moje widzenie staje się bardziej tolerancyjne. Dostrzegam więcej dobra i piękna, kiedy patrzę na Panią! Pozdrawiam zatem, i trwam w tym zapamiętaniu –

STEFAN JURKOWSKI